



Tu byłem.
TONY
HALIK

MIROSŁAW WLEKŁY



Tu byłem.
TONY
HALIK
MIROSŁAW WLEKŁY

Tu byłem.
TONY
HALIK
MIROSŁAW WLEKŁY

Patrycji i Przemkowi

No to w drogę! Żeby się oburzać i podziwiać, zdumiewać
i wzruszać ramionami, śmiać się i smucić, wybrzydzać i zachwycać.

Żeby się poddać urokom, ale nie ulec.

Żeby się pocić, cierpieć, pozwolić żreć się moskitom.

Żeby przemieszczać się tysiące kilometrów z otwartymi oczami,
ale z językiem na wierzchu.

Żeby potem tęsknić.

Olgierd Budrewicz „Połączana dżungla”



Prolog

SZALONY JANKES

Łysawy chudzielec z kępkami blond włosów po bokach i krzaczastymi jasnymi brwiami wskakuje z kamerą na parapet. Jest wilgotno jak cholera i upał taki, że trudno sięgnąć po szklankę z wodą. Zlani potem reporterzy z całego świata dogorywają w kilku rzędach krzeseł. Sapią za kamerami, na bok odkładają długopisy, bo nie chce im się notować. Nikt nie pozwala sobie na T-shirt czy sandały. Wszyscy są w garniturach, choć w Panamie czują się w nich jak w piecu. Tylko łysawy blondyn wystroił się jak na safari: w spodnie i koszulę w kolorze khaki; szuka skomplikowanych ujęć, balansuje na starych fotelach, przykuwa uwagę pozostałych.

Siedziba kongresu w mieście Panama. Koniec lat sześćdziesiątych. Zaraz po przewrocie, który wojskowi nazywają rewolucją. W ścianach jakieś dziury, chyba po pociskach. Przed krajem kilkanaście lat wojskowej dyktatury. W pierwszym rządzie siedzą Polacy: Jolanta Klimowicz, dziennikarka Polskiego Radia, i jej mąż Edmund Osmańczyk, korespondent PAP.

Blondyn schodzi z parapetu i z kamerą przysiadła na plecach polskiej dziennikarki, w drugim rzędzie łoży prasowej.

– I kapie mu na mnie, kapie. Nie wiem, czy z nosa, czy z brody. Jestem cała mokra od jego potu. Już chcę mu powiedzieć: „Panie, niech pan tak na mnie nie kapie”. Ale uprzejmy jest bardzo. Daję spokój.

Tak pamięta tę scenę Jolanta Klimowicz.



Reporter kapie na polską korespondentkę i denerwuje agentów ochrony. Bo zrywa się znów i szuka nowego ujęcia. Czy zaraz zawiśnie na lampie? Nie, wchodzi na parapet z kamerą, chce mieć najazd z góry, przytrzymuje się zasłony, zrywa ją. Leci z zasłoną i kamerą na ziemię. Omar Torrijos Herrera zastyga. Przerywa wywód o świetlanej przyszłości swojego kraju. Osowiali reporterzy przytomnieją. Przywódca junty wojskowej i rewolucji, przyszedł premier przeczesuje palcami gęste czarne włosy, marszczy brwi.

– *Quien es este loco yanqui?* (Kim jest ten szalony jankes?).

Blondyn zrywa się, podnosi kamerę z ziemi i odpowiada:

– *Yo no soy yanqui, soy polaco!* (Nie jestem jankesem, jestem Polakiem).

Edmund Osmańczyk po powrocie do Polski opowiada o nim Ryszardowi Badowskiemu, autorowi programu „Klub sześciu kontynentów”. Wieści o „loco yanqui” przywozi też z Meksyku Ryszard Kapuściński: że jest tam przewodniczącym klubu korespondentów zagranicznych, że ma argentyński paszport, że pracuje dla amerykańskiej telewizji NBC, że w czasie wojny był pilotem brytyjskim, że walczył we francuskiej partyzantce, że jest honorowym członkiem jakiegoś plemienia.

Kilka lat później, wiosną 1972 roku, gdy do Polski przyleci prezydent Stanów Zjednoczonych Richard Nixon, na redakcyjnym biurku Badowskiego zadzwoni telefon. Głos powie po polsku z hiszpańskim akcentem:

– Mówi Tony Halik. Słyszałem o tobie w Meksyku. Chciałbym cię poznać.







CZĘŚĆ PIERWSZA

TONY
(1974-1993)



Skoczkowie z Acapulco

Pedro odrzuca z czoła kosmyki włosów, bo spadają mu na oczy. Stoi na szczycie La Quebrady i patrzy trzydzieści metrów w dół, na rozbijające się pod jego stopami fale. Przed chwilą odmówił modlitwę przed ołtarzykiem Najświętszej Panienki. Z tarasu hotelowego i ze schodów na ścianie wąwozu setki, a może tysiące oczu podziwiają jego atletyczne ciało. „To dla ciebie, dziewczyno z Acapulco”, myśli. Chwila skupienia, w imię Ojca i Syna, i Ducha Świętego, skok i leci. Operator amerykańskiej telewizji odprowadza go do wody długim ujęciem kamery. Skoczek na wiele sekund niknie pod powierzchnią oceanu.

Film z tą sceną wyemitował na początku lat siedemdziesiątych Program 1 Telewizji Polskiej w cyklu „180 tysięcy kilometrów przygód”. Po filmie łysawy reporter z dziwnym akcentem opowiadał o zwyczaju skoków ze skały La Quebrada w Acapulco.

Przed telewizorem w swoim mieszkaniu w Warszawie siedziała trzydziestoparoletnia dziennikarka miesięcznika „Kontynenty” Elżbieta Dzikowska.

– To wtedy zobaczyłam go po raz pierwszy – uśmiecha się.

Do Acapulco, śladem Tony’ego Halika wyruszam ponad czterdzieści lat później. Od półtora roku usiłuję odkryć prawdę ukrywającą się pod legendą, którą Halik stworzył na swój temat. Byłem już we Francji, Stanach Zjednoczonych, zjechałem kawał Polski, czeka mnie jeszcze podróż przez Meksyk, a potem wyjazd do Argentyny, przeszukiwanie polskich, niemieckich i brytyjskich archiwów i przede wszystkim rozmowy. To nie jest zbieranie materiału do książki. To jest szalona przygoda, w której trzeba uważać, żeby samemu się nie zgubić między fikcją i rzeczywistością.



– Skaczą, jak skakali. Od dziesięcioleci tak samo. Tylko jedna rzecz się zmieniła. Wiesz, co? Kąpielówki. Wtedy mieli męskie, dzisiaj noszą mocno wcięte. Jak geje – próbuje mnie uświadomić Genaro, taksówkarz. Jedziemy biało-granatowym garbusiem, jakie od lat kursują po ulicach Acapulco. Nadmorską promenadę otaczają kilkunastopiętrowe hotele i rzędy palm. Docieramy nią do La Quebrady.

Z klifu nad zatoką Acapulco pierwszy skoczył w 1933 roku Rigoberto Apac Ríos. Namówili go przyjaciele. Gdy spadał w kipiel z prędkością osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, świadkowie przecierali oczy ze zdumienia. Skok był udany, ale Rigoberto nie miał zamiaru go powtarzać – wystarczy, że raz wykazał się odwagą. Będą robić to inni. Zazwyczaj rybacy po udanych połowach, aby rzucić morzu jeszcze jedno wyzwanie.

Sześć lat przed skokiem Rigoberta powstała bita droga z Acapulco do stolicy Meksyku. W mieście przybywało turystów. Na organizowany od 1958 roku festiwal filmowy zjeżdżały gwiazdy światowego kina. To najsłynniejszy kurort świata, ulubione miejsce bogaczy i gwiazd. Gdzie – jak pisał Halik w 1967 roku w magazynie „Life” – „pod pięknem miasta ukrywały się znaki grzesznej Gomory”¹. Gdzie wzdłuż turkusowej zatoki królowały seks, hazard i narkotyki. La Quebrada, skała nad zachodnim krańcem zatoki, stała się ikoną miasta. Skoczków podziwiali gwiazdy Hollywoodu i zwykli turyści. Od 1934 roku urządzano tu oficjalny „show de clavadistas”, pokaz skoczków, który ściągał na wzgórze coraz więcej ciekawskich.

Najsłynniejszy z nich to Raúl Arturo García Bravo (1928-2004). Mówili na niego „El Chupetas”. Wymyślił nocne skoki z pochodniami, które odbywają się do dzisiaj: skoczek staje nad przepaścią, rozpalone pochodnie trzyma w obu rękach, nie widzi przypływu ani odpływu wody w dole, skacze na wycucie. „El Chupetas” występował w filmach u boku sław: Elvisa Presleya, Maria Moreno „Cantinflasa”, Pedra Armendáriz, Germána Valdésa „Tin-Tana”. W „Tarzanie” dublował Johnnyn’ego Weismullera. Ustanowił rekord Guinnessa: 37 tysięcy 399 skoków. Właściwie o jeden więcej, bo w 1998 roku, w wieku 70 lat, po dwunastu latach od zakończenia kariery, skoczył jeszcze raz. Inni skoczkowie zazwyczaj zaczynają karierę w wieku 17 lat, kończą, kiedy mają 45. W tym czasie skaczą jakieś piętnaście tysięcy razy.

Ponad pół wieku po wizycie Halika na La Quebradzie na tarasie przy stolikach hotelowej restauracji siedzi kilka osób. Na wijących się jak ślimak



Tony Halik filmuje zatokę Acapulco. Połowa lat siedemdziesiątych.

schodach i tarasikach ściany wąwozu stoi ze sto pięćdziesiąt. Czekają na skoczków.

– Nigdy żaden się nie zabił. Nieraz za to spadali ze skał nieostrożni turyści. Ile razy skakałem? Trzeba by policzyć. Przez dwadzieścia lat dwa, trzy razy dziennie. Chociaż ostatnio skaczę mniej. Co trzy, cztery dni. Jestem już weteranem, robię miejsce młodym. Teraz to oni skaczą codziennie – opowiada mi na La Quebradzie w oczekiwaniu na skoki José Luis Álvarez Bello. Ma czterdzieści pięć lat, ale wcale nie myśli o zakończeniu kariery. Śniady, niski, krępy. Siedzimy na zadaszonym tarasie z widokiem na klif. Za chwilę wdrapie się na niego z pięcioma młodymi skoczkami: José, Genaro, Ernestem, Alexisem i Ulisem. Pomodlą się przed figurą Najświętszej Panienki, jak robił to Elvis Presley w filmie „Zabawa w Acapulco”, niektórzy nawet ją pocałują.

– Dzisiaj to już nie jest obowiązkowe. Ale lepiej się pomodlić. Bo kiedy wspinasz się po skałach i wiesz, że zaraz masz skoczyć, adrenalina szybko rośnie. Więc gdy stajesz przed Matką Boską, to nieważne, czy jesteś wierzący czy nie, głęboki oddech przed kapliczką pomaga się zrelaksować



– Álvarez Bello nie przestaje mówić, ale nie odrywa oczu od skały. Za chwilę stanie z innymi na krawędzi. Na chwilę zamknie oczy. Mocno odbije się od klifu. I zniknie w wąskiej rozpadlinie pomiędzy ostrymi skałami.

Tnie muzyka disco. W drewnianej budce sprzedają zmrożone piwo. Na skale, tuż pod kapliczką Panienki z Guadalupe, skoczkowie powiesili wielki baner z okazji przyjazdu do Meksyku papieża Franciszka. W Acapulco odbędzie się specjalne nabożeństwo i skoki na cześć Ojca Świętego. Oglądam więc skoki do wody z machającym ręką papieżem w tle. Disco, kąpielówki, Matka Boska z Guadalupe, piwo, skoki, Franciszek – latynoski miszmasz.

Zagraniczne turystki proszą o wspólne zdjęcie ze skoczkami i odjeżdżają garbusami do luksusowych hoteli. A skoczkowie, aby dorobić do marnych groszy z biletów, ustawiają się przy wyjściu w rzędzie i zbierają datki do przezroczystych worków.

U Halika było bardziej romantycznie: pierwszy w życiu skok pozwolił Pedrowi zdobyć sławę i miłość. Nie chciał pieniędzy, a swój debiut ofiarował dziewczynie o wielkich czarnych oczach.

W czarno-białym telewizorze Wisła Acapulco nie wyglądało tak imponująco jak w rzeczywistości. W dodatku ten Halik!

- Jaki śmieszny facet – pomyślała Elżbieta Dzikowska. I wyłączyła go.
- Okazało się, że tylko z ekranu, bo nieświadomie włączyłam go w życie – mówi.

Barszczyk

W połowie 1974 roku Elżbieta Dzikowska, którą magazyn „Kontynenty” wysyłał właśnie do Meksyku, dostała nieoczekiwaną propozycję: miała przeprowadzić wywiad z Tonym Halikiem. Tym śmiesznym facetem, którego niedawno widziała w czarno-białym telewizorze.

Zadanie powierzył jej Ryszard Badowski, pierwszy Polak, który postawił nogę na wszystkich kontynentach, filmowiec. I autor pierwszego programu podróżniczego w polskiej telewizji: „Klubu sześciu kontynentów. Kawiarenki pod globusem”. 23 sierpnia Badowski wręczył Elżbiecie instrukcję spisana na maszynie.

Nagłówek: Temat dokrętki filmowej o Haliku.

Poniżej plan dokrętki w sześciu punktach:

1. Wręczenie Halikowi przez emisariuszkę „K6K” listów z Polski (to musi skrócić ktoś trzeci).
2. Halik czytający listy.
3. Halik odpisujący na listy, składający autografy na fotografiach, dedykujący autorom listów swoje książki.
4. Jego wypowiedź 100 proc. (lub off – na magnetofon, do wykorzystania zza kadru)
 - a) podziękowanie za listy
 - b) ustna odpowiedź autorom
 - c) garść informacji o sobie – co robił po powrocie z Polski, co robi obecnie, co planuje.



5. Dom Halika, jego ogród, trofea podróżnicze, polonika w domu, jego książki, jego zdjęcia z podróży.

6. Rodzina Halika – żona, syn (temat ma ten rozwinąć – pokazać ich przy zajęciach – sortowaniu zdjęć?, pamiątek?, przygotowaniu nowej wyprawy?, przy domowych i ogrodowych zajęciach?)

– oraz wszystko, co się okaże ciekawe.

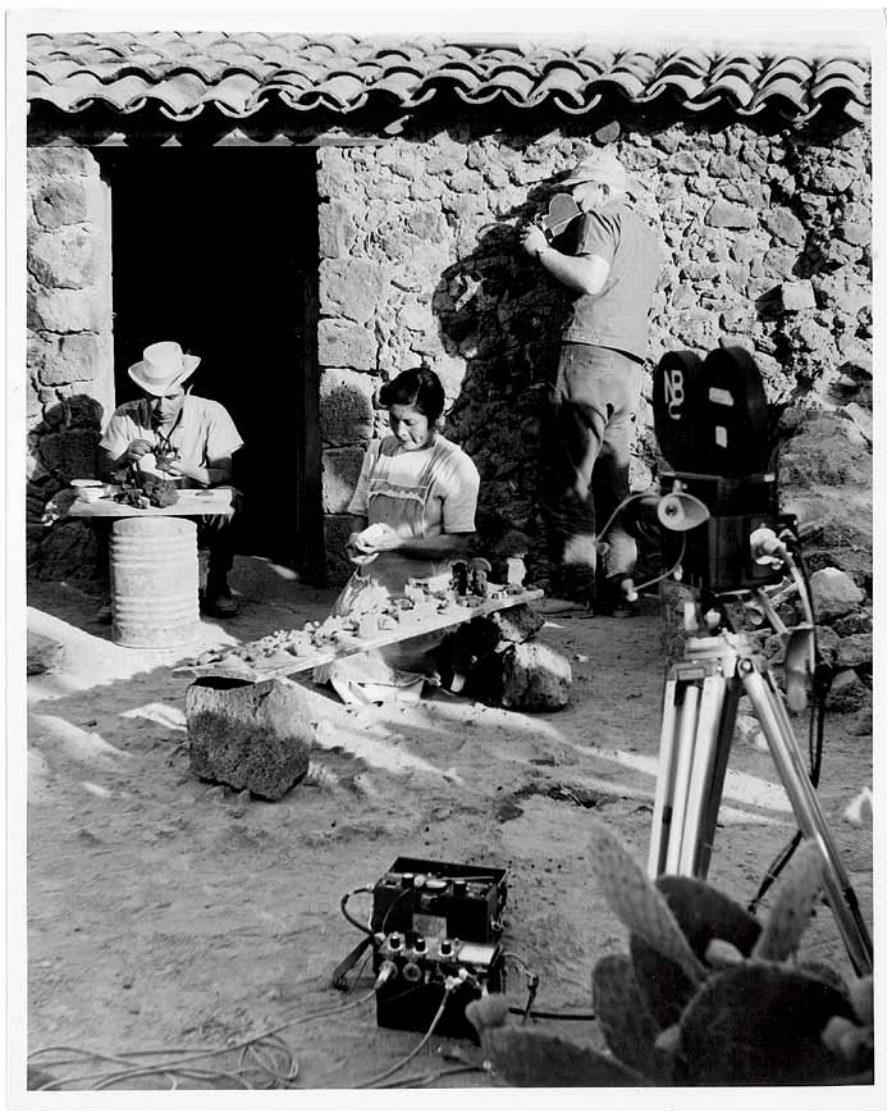
W programie Badowskiego Elżbieta Dzikowska gościła już w 1968 roku. Odcinek z 15 grudnia nosił tytuł „Oblicze Trzeciego Świata”. 31-letnia dziennikarka opowiadała w nim o swoich podróżach po Ameryce Łacińskiej. Potem w „Klubie sześciu kontynentów” pokazywała inne swoje filmy. Do programu Badowski zapraszał polskich podróżników, himalaistów, żeglarzy, odkrywców. Wyliczył (na podstawie danych Ośrodka Badania Opinii Publicznej), że przez dziewiętnaście lat emisji „Klub” obejrzało cztery i pół miliarda widzów. Miał minimalny budżet. Korzystał z filmów, które nakręcili jego goście. Halik spadł mu więc z nieba.

Usłyszał o nim już pod koniec lat sześćdziesiątych od Edmunda Osmańczyka i Ryszarda Kapuścińskiego. Spotkał w 1972 roku, gdy Halik przyjechał do Polski w świcie prezydenta USA Richarda Nixona i przywiózł torbę filmów, które nakręcił dla Amerykanów.

– Nikt wówczas nic sobie nie robił z praw autorskich. Amerykańska telewizja wciąż miała prawa do tamtych filmów, ale my zrobiliśmy kopie i przemontowywaliśmy je, wplatając tak zwane duble, odrzuty, czyli powtórki nakręconych kilkakrotnie tych samych scen lub wątków – wspomina Badowski. Mówiąc „my”, ma na myśli siebie i realizatora Tadeusza Kurka. – To już były zupełnie inne filmy, można powiedzieć, że w dużej części sklezione z odrzutów. Nasza telewizja miała je prawie za darmo.

W 1972 roku Program 2 Telewizji Polskiej wyemitował w ramach „Klubu sześciu kontynentów” sześciuodcinkową serię Halika pod tytułem „180 tysięcy kilometrów przygód”. Rok później powtórzył ją Program 1.

Wkrótce potem Tony przywiózł zaświadczenie, że amerykański właściciel nie rości sobie praw do nakręconych przez niego materiałów. Mógł je więc sprzedać Telewizji Polskiej. Zaczęły powstawać krótkie serie, po sześć, osiem odcinków. Nie trzeba było już uciekać się do sztuczek montażowych, materiał był właściwie gotowy do emisji.



Podczas kręcenia filmu dla NBC o meksykańskim rękodziele. Lata siedemdziesiąte.



W studiu, gdzie nagrywano „Tam, gdzie pieprz rośnie”, „Tam, gdzie rośnie wanilia” i „Pieprz i wanilia”. Elżbieta Dzikowska i Tony Halik z pomysłodawcą cyklu Ryszardem Badowskim.

– My go tylko trochę czyściliśmy z powtórek, wycinaliśmy jakieś fragmenty pod amerykańską publiczność, dla nas niezrozumiałe, niesmaczne nawet. Bo Halik miewał zagrywki w stylu jedzenie mózgu małpy. My tego w programie nie chcieliśmy, ale poza tym to była rewelacja! Tony był pełen poświęcenia: próbował przelecieć balonem nad Atlantykiem, walczył z dzikimi zwierzętami, z grzbietu pędzącego byka filmował meksykańską corridę i Bóg wie co jeszcze wymyślał, żeby zadziwić widza.

Współpraca układała się znakomicie, ale przed Badowskim pojawił się problem – jak zapłacić Halikowi za materiały i udział w programach? Jako cudzoziemiec nie miał prawa dostawać polskich złotych. A możliwości płacenia autorom w dewizach w PRL-u nie było. Halik zażyczył więc sobie, aby jego honoraria telewizja przelewała na konto Badowskiego. Załatwił, aby księgowość TVP trzymała je w depozycie do czasu jego kolejnego przyjazdu do Polski.

Wszyscy starali się iść Halikowi na rękę. Ale Badowski znalazł inne rozwiązanie. W liście do Tony'ego napisał: „Za parę dni wyślę ci do podpisu umowy, na podstawie których otrzymasz honorarium z telewizji, oraz upoważnienie na odbiór pieniędzy przez jednego z mych sąsiadów. Wezmę je z depozytu i położę na książeczkę oszczędnościową na twoje nazwisko”.

Badowski opowiada: – Nieraz wypytywali Tony'ego, ile zarabia. I w jednym z wywiadów prasowych odpowiedział: „Dla mnie nie jest ważne, ile zarabiam, ale ile godzin jestem na antenie. Sam chętnie bym płacił, żeby mnie pokazywano”. Bardzo mądre! Amerykański sposób myślenia. Wtedy my tego jeszcze w Polsce nie rozumieliśmy.

– Po wznowieniu cyklu Halika dostałem mnóstwo listów z prośbą o kolejne powtórzenia – ciągnie Badowski. Ludzie czuli niedosyt. Wypytywali o niego. Na przykład: dlaczego mieszka pod takim dziwnym adresem: Calzada Desierto de los Leones, Pustynia Lwów? Pytali głównie młodzi, bo to działało na wyobraźnię.

Właśnie wtedy dowiedział się, że Elżbieta Dzikowska akurat wybierała się do Meksyku.

– Wypisałem jej dokładnie, jakie pytania ma zadać, kamerę wypożyczyła z agencji Tele-AR, późniejszego Interpress-Film – tłumaczy Badowski.

– Elżbieta pojechała z moją rekomendacją, o Haliku wiedziała tylko z moich programów. Zadanie było takie: Halik miał swojego operatora, ona miała położyć te listy na stół, a Halik miał w swoim domu stół wielki, listów zmieściłyby się tam setki, i on na te listy telewidzów odpowiadałby do kamery. A ja znów powtarzałbym jego programy, ale ubogacałbym je jego wypowiedziami i powtórki zyskałyby sens.

– I nagle stałem się na polskiej antenie znanym poszukiwaczem przygód. Więc on wysłał do mnie reporterkę, żeby w tym Meksyku zrobiła ze mną wywiad – powie trzydzieści lat później na antenie Telewizji Polskiej Tony Halik.

Tego samego dnia, kiedy Badowski wydał instrukcje Elżbiecie Dzikowskiej, wyposażył ją w listę pytań do Halika. I list:

„Nie mam Ci za złe Twego milczenia – wiem, że nie należysz do ludzi, którzy zapominają przyjaciół, a brak listów jest dowodem, że intensywnie pracujesz i że nosi Cię pewnie znów gdzieś po świecie [...]. Myślę, że wiadomość ta i Tobie sprawi satysfakcję. Nie wiesz zapewne, że po projekcji



w II Programie TVP sześciu odcinków cyklu »180 tysięcy kilometrów przygód« w październiku-grudniu 1972 Telewizja Polska na życzenie widzów, wyrażone w licznych listach, wznowiła ten cykl w I Programie w sierpniu-październiku 1973. Posyłam Ci garść anonsów prasowych z tego okresu – nie wszystkie zachowałem. Posyłam Ci także część listów, te, które odnalazłem obecnie, gdy dowiedziałem się, że zaprzyjaźniona ze mną red. Elżbieta Dzikowska jedzie do Meksyku.

Prosiłem Elę, by Cię odnalazła, wręczyła mój list, wycinki i listy widzów, a ponadto, aby nakręciła mały reportaż o Tobie, Twojej rodzinie i Twoim domu w Meksyku...”

Elżbieta Dzikowska знаła już Meksyk i prawie całą Amerykę Łacińską. Na początku lat sześćdziesiątych, gdy zamknięto miesięcznik „Chiny”, w którym pracowała, nowy etat dostała w tworzonej właśnie redakcji „Kontynentów”. Chociaż była sinolożką, zaproponowano jej prowadzenie działu Ameryki Łacińskiej. Nie miała o tej części świata zielonego pojęcia, nie знаła hiszpańskiego. Szybko zapisała się na kurs języka i już po pół roku pracy wyruszyła przez Kubę do Meksyku.

Kabinę w handlowym statku „Transportowiec” dzieliła wtedy z Meksykanką Elią Ramírez Bautistą i uczyła się przy niej hiszpańskiego. Długo wieczory na Atlantyku umilał śpiewak operowy z Odessy i spirytystka, która w seansie dla wtajemniczonych wywoływała ducha Józefa Piłsudskiego: stłumionym barytonem przestrzegała podróżnych przed zasadzkami komunizmu. Na Kubie Elżbieta Dzikowska zjadła lody w największej lodziarni świata „Coppelia”, obejrzała balet w „Tropicanie”, wypila kawę w „La Bodeguita del Medio”, ulubionym barze Hemingwaya...

Tym razem Elżbieta Dzikowska wybierała się na roczne stypendium do Peru, ale w drodze postanowiła zatrzymać się ponownie w mieście Meksyk. Zamierzała tam odwiedzić swoich znajomych z poprzedniego pobytu, artystów. Pierwszym, do którego kiedyś, jeszcze w latach sześćdziesiątych, ośmieliła się zadzwonić i rozmawiać po hiszpańsku, był José Luis Cuevas. Tematem jego rysunków była śmierć, zbrodnia, obłęd, a także erotyka. Elżbieta Dzikowska zastała go leżącego na XIX-wiecznym angielskim łożu, Cuevas umierał. Opisała to w „Kontynentach”: „Skoro już miał umrzeć – postanowił, kiedy pokazywali mu lekarze wyniki elektrokar-diogramu – niechaj to umieranie zamieni się w sztukę. Niech to będzie

happening. Codziennie robiono mu zdjęcia, filmowano, przeprowadzano wywiady telewizyjne. Wszystko, co mówił, było nagrywane na magnetofony. Kiedy lekarz zabronił mu rysować – co dzień hiszpański malarz José Luis Paredes malował jego portrety. Rozwieszone na ścianach elektrokardiogramy pokazywały, że jest źle, ale on nie umierał”².

Dziesięć lat później Cuevas żył nadal i zmienił życie Elżbiety Dzikowskiej.

W Meksyku nie zastała Tony’ego Halika, bo wyjechał do Gujany Francuskiej. To nie koniec pecha: w ostatniej chwili odwołano jej stypendium w Peru. Spakowała się więc, chciała wracać do Polski. Nie zamierzała czekać na Halika.

„Nie zależy mi na tym wywiadzie specjalnie, mam dość zajęć, a on jest dziesiątym obiektem zainteresowania”, pomyślała. Ale na pożegnanie skorzystała jeszcze z zaproszenia Cuevasa i jego żony Berty. Pojechała do nich na obiad.

Skoro przyjęcie miało się odbyć w ogrodzie, pomyślała, wystarczą spodnie i biała bluzka. Okazało się jednak, że między Meksykankami wyglądała jak Kopciuszek. Wcale się tym nie przejęła. Gospodarze przedstawiali jej kolejnych ważnych gości. Między innymi mężczyznę średniego wzrostu o delikatnych, zupełnie nieindiańskich – jak u większości Meksykanów – rysach twarzy. Był to prezydent Meksyku Luis Echeverría Álvarez. Elżbiecie Dzikowskiej wydał się wrażliwym na punkcie swojej męskości macho, któremu schlebiał podziw młodej Polki. Podczas obiadu u Cuevasów opowiedziała mu o odwołanym peruwiańskim stypendium. I że na dniach musi wracać do Polski.

– Dlaczego? – dziwił się prezydent. – Przecież my możemy dać pani stypendium. Proszę przyjść jutro na przyjęcie, oto adres, będzie tam mój szef prasowy Mauro Jiménez Lazcano i wszystko załatwi.

(– Dzikowska i Halik to więksi odkrywcy Meksyku niż Kolumb, Korteż i Humboldt razem wzięci – mówi mi czterdzieści lat później z patosem i łzami w oczach Mauro Jiménez Lazcano).

– Po tym obiedzie w naszym domu prezydent Echeverría zaprosił Elżbietę na objazd po Meksyku. Przypadła mu do gustu. Nazywał ją po meksykańsku: Chabelita – opowiada mi Cuevas. Jest jednym z najbardziej znanych meksykańskich artystów. Jego muzeum w samym centrum miasta,



przy calle Academía 13, odwiedzam w 2016 roku. Oglądam Salę Erotyczną, a w niej grafiki z poskręcanyimi nagimi postaciami.

Elżbieta Dzikowska za namową prezydenta Echeverría została w Meksyku na rok. Ale już dzień po planowanym powrocie do Polski oddzwonił do niej Halik.

„Gdyby nie Cuevas – nie zostałabym dłużej w Meksyku i mój los ułożyłby się zapewne zupełnie inaczej. Nie byłoby »Pieprzu i wanilii«...”³ – zanotowała po latach.

Z Halikiem i jego żoną umówiła się na kongresie Światowego Stowarzyszenia Latinoamerykanistów. Mieli się spotkać w holu Narodowego Muzeum Antropologicznego przy automacie telefonicznym. Pierwsza pojawiła się Pierrette Halik. Miała niebieską sukienkę, była elegancka i bardzo zainteresowana kulturą Meksyku. Panie rozmawiały przez chwilę. Zaraz nadjechał Tony swoim nowym sportowym samochodem – czerwonym fordem pinto.

– Dopiero go kupił i niewątpliwie chciał zaimponować biednej Polce z PRL-u – wspomina Elżbieta Dzikowska. – Zaprosił mnie do domu na kolację, w kominku przygotował befsztyk. Ze świetnego mięsa, które przysyłał mu gubernator stanu Sinaloa. Hodowało się tam zwierzęta na doskonałą cielęcinę na eksport do Stanów. Wzruszył mnie, bo oprócz wina podał też czerwony barszczyk z torebki. Przywiózł go z Polski. Tony uwielbiał barszczyk, a wszystko, co z Polski, uważał za najlepsze. I odjął go sobie od ust, żeby mnie ugościć. Jego żona też była w domu. Ale ponieważ rozmawialiśmy po polsku i ona nie rozumiała, zostawiła nas samych. Po kolacji oprowadzili mnie jeszcze po domu. W sypialni przy ich łóżku stał dziwny posążek. Jakiś symbol. Później dowiedziałam się, że żona Tony’ego należała do różokrzyżowców. Zaczęliśmy wywiad. Zadawałam po prostu pytania, jakie mi przychodziły do głowy. Nie pamiętam, żebyśmy miały je spisane na kartce. Badowski chciał mieć pretekst do powtórzenia programów Tony’ego i wierzył, że dam sobie radę.

Pierwsze zdanie, które Elżbieta Dzikowska powiedziała po powrocie z Meksyku siostrze Teresie Wojtczak, brzmiało:

– Wiesz, poznałam Tony’ego Halika!⁴

Prezydent Echeverría

Jej uroda w Meksyku robiła furorę. Miała 37 lat, uśmiech od ucha do ucha i długie blond włosy. Spinała je w kok albo zaplatała warkocz. Na zdjęciu z tamtych lat idzie w białej sukience z czerwonymi wzorami, takiej, jakie noszą kobiety w stanie Veracruz, a roześmiany prezydent Echeverría trzyma ją za rękę.

Mężczyźni adorowali ją tu już podczas pierwszego przyjazdu do Meksyku w latach sześćdziesiątych. Na kolacji u krewnych Elii, współpasażerki z „Transportowca”, jej wujek w towarzystwie orkiestry mariachi śpiewał Elżbiecie Dzikowskiej miłosne serenady. Prosił, żeby została z nim w Veracruz. „Ślub?” – pomyślała. „Skądże ślub, on przecież ma żonę!”. Musieli jej tłumaczyć, że w Meksyku każdy szanujący się mężczyzna ma *casa grande* – „duży dom”, gdzie mieszka żona i jej dzieci, a także *casa chica* – „mały dom”, mieszkanie oficjalnej konkubiny z potomstwem. Dawniej nie mieć małego domu oznaczało wstyd przed znajomymi, to znak ubóstwa, braku urody i niezaradności mężczyzn. Bywało, że Meksykanki pomagały mężom zdobywać kochanki.

Elżbieta Dzikowska nie chciała mieszkać w *casa chica*. Ale jej znajomi w Warszawie i tak szeptali, że prezydent Meksyku stracił dla niej głowę. O ich zażyłych kontaktach plotkowali nawet pracownicy polskiej ambasady. Kiedy Luis Echeverría Álvarez wręczył Elżbiecie Dzikowskiej album o sztuce ludowej z dedykacją, ówczesny polski ambasador, aby odciążyć jej bagaż, zaproponował, że prześle go pocztą dyplomatyczną. Album do mieszkania Dzikowskich nie dotarł. Po powrocie Elżbieta musiała osobiście odebrać go w ministerstwie. Czekał na nią w szafie



pancernej. Tłumaczyli jej, że to z obawy, iż żartobliwa dedykacja prezydenta w albumie mogłaby wydać się Andrzejowi Dzikowskiemu, mężowi Elżbiety, zbyt czuła.

W Meksyku była rozrywana. Czas spędzała na zmianę – z meksykańskim prezydentem lub o rok od niego starszym argentyńskim korespondentem NBC. Obaj byli od Polki starsi o kilkanaście lat.

Z Echeverrią jeździła po świecie, dzięki niemu ważne osobistości spotykała też w Meksyku. Poznała szacha Iranu Rezę Pahlawiego („był mautki, ale nadzwyczaj elegancki i uprzejmy”)⁵. Zetknęła się z Raulem Castro. Złapała w bliskim kadrze rozmawiających z Echeverrią Geralda Forda i Henry’ego Kissingera. („W takich chwilach działa się instynktownie: zobaczyłam, że Kissinger ma szeroko rozstawione nogi, nachyliłam się, szybko przeczółgałam między nimi i stanęłam w środku trójkąta, energicznie naciskając spust aparatu. Ochroniarze byli wściekli, ale od prezydentów dostałam brawa, więc mi się upiekło”)⁶.

Tuż po ich pierwszym spotkaniu zgodnie z obietnicą Echeverría przyznał Elżbiecie stypendium, żeby mogła poznać Meksyk. Przy okazji miała również wstęp do pałacu Los Pinos. Salutowała jej gwardia prezydencka.

Mauro Jiménez Lazcano, rzecznik Echeverrii, zdradza mi po latach: – Prezydent lubił się otaczać dziennikarzami. I to o różnych poglądach, z zupełnie różnych środowisk. Chciał mieć w kolekcji również kogoś z Europy Wschodniej.

– Tak okazywał swoją otwartość: nie tylko dla zachodnich dziennikarzy, ale też dla dziennikarki z socjalistycznego PRL-u – domyśla się Elżbieta Dzikowska. – Raz nawet przysłał po mnie helikopter. Bez żadnych podtekstów. Po prostu mnie lubił.

A było tak:

– Prezydent zauważył, że nie ma cię na zwiedzaniu odrestaurowanego miasteczka kolonialnego. Prosi, żebyś natychmiast przyjechała, specjalnie wstrzymał inaugurację – Elżbieta Dzikowska usłyszała w słuchawce telefonu głos Jiménezza Lazcano.

– Jak? Jestem w stolicy, dwieście kilometrów dalej.

– Nie ma problemu, już wysłałem samochód, który zawiezie cię do parku Chapultepec, gdzie czeka na ciebie helikopter.

Z Halikiem było równie ciekawie.

– Zabawne, zapewniał mnie, że ma 50 lat, ale naprawdę miał wtedy 52. Do dziś nie mogę pojąć, dlaczego odmładzał się tylko o dwa. Z jego temperamentem mógłby powiedzieć, że znacznie mniej i przecież bym uwierzyła – śmieje się Elżbieta Dzikowska.

Zaprosił ją na drinka, umówili się w hotelu Presidente Hilton, gdzie miało siedzibę Stowarzyszenie Korespondentów Zagranicznych. Halik był jego przewodniczącym. Spytał, czy pojechałaby z nim do Tijuany. Dodał, że jeszcze nie jest pewien, czy będzie to możliwe. Twierdził, że spróbuje namówić jakiegoś korespondenta, żeby zrezygnował z wyjazdu i wtedy w samolocie znalazłoby się miejsce dla niej. Zatelefonował z sąsiedniego pokoju. Drzwi były niedomknięte, a głos miał dość doniosły, więc wszystko było słychać. Rozmawiał po polsku z jakąś Krysią. „Halo, kochanie, mam nadzieję, że zmieniłaś zdanie i polecisz ze mną do Tijuany. Przecież lubisz strefę bezcłową”. Bardzo tę Krysię na wyjazd namawiał, ale ona nie miała ochoty. Poprosiła tylko, żeby w Tijuanie kupił jej krem żółtiowy. Tony wrócił z pokoju i powiedział Elżbiecie Dzikowskiej: „Udało mi się! Jest wolne miejsce! Z wielkim trudem namówiłem korespondenta rosyjskiego, żeby został w domu”.

– Była to podróż z innymi dziennikarzami – pamięta Elżbieta Dzikowska. – Odwiedziliśmy *machiladores*, amerykańskie fabryki, w których zatrudniano Meksykanów jako tanią siłę roboczą. Tony zrobił o nich reportaż dla NBC, a ja mu towarzyszyłam, poznając Meksyk niekoniecznie spod znaku sombrero i tańców ludowych. Dopilnowałam, żeby kupił krem żółtiowy dla Krysi.

Później jeździli też we troje: Elżbieta Dzikowska, prezydent i korespondent NBC. A zaczęło się tak:

Spotkania prezydenckie z udziałem dziennikarzy odbywały się o różnych porach. Do jednego – ze studentami prawa i urzędnikami ministerstwa sprawiedliwości – doszło po północy. Około drugiej Echeverría zwrócił się do Polki:

– Czy miałaby pani ochotę polecieć dziś na Islas Marías? Właśnie zaproponowałam to studentom i ministrowi.

Na Islas Marías, wyspach na Pacyfiku niedaleko półwyspu Dolna Kalifornia, mieściło się więzienie dla groźnych przestępców. Eksperymentalne: bez krat, osadzonych pilnowały rekiny. Elżbieta



Elżbieta Dzikowska i prezydent Meksyku Luis Echeverría Álvarez. Rok 1974.

Dzikowska bardzo chciała polecieć – to wielka gratka dla młodej dziennikarki z Polski – ale była już umówiona.

– Z kim? – dopytywał prezydent.

– Z Tonym Halikiem, korespondentem NBC.

– Jego też możemy zaprosić, zadzwońmy do niego.

Prezydent wykręcił numer.

– Halo, czy pan Halik? Mówi prezydent...

– Co takiego? O drugiej w nocy? Nie strój sobie żartów, pacanie. Zjeżdżaj i daj mi spać!

Elżbieta Dzikowska zbladła.

– Panie prezydencie, przepraszam, pozwoli pan, że ja zadzwonię...

Zadzwoniła i wytłumaczyła Halikowi, że naprawdę rozmawiał z prezydentem. Echeverría nie czuł się urażony, przejął słuchawkę, ponowił zaproszenie. A Halik zrobił na Islas Marías reportaż, którego podobno zazdrościli mu wszyscy zagraniczni korespondenci.

Prezydent Echeverría wciąż mieszka w mieście Meksyk. Ma jednak 94 lata, lekarze odradzają mu spotkania z dziennikarzami. Rozmawiam więc z jego dawnym rzecznikiem prasowym Mauro Jiménezem Lazcano.

– Wcale mnie nie dziwi ta opowieść. Dla Echeverría protokół dyplomatyczny nie istniał. Jako prezydent był bardzo bezpośredni, w stosunku do każdego. Wie pan, jak powołał nowego szefa Petróleos Mexicanos, narodowego koncernu paliwowego? Ktoś opowiedział mu o mądrym inżynierze, którego w ogóle nie znał. Chwycił za telefon: „Synu, czy zgodziłbyś się zostać szefem Paliw?”. Wprost. Nigdy nie widząc faceta na oczy. Szybko się dogadali. A jak było z Elżbietą i Antonio? Po prostu poleciliśmy na Islas Marías dwoma F-27, po jakieś trzydzieści osób w każdym. Wylądowaliśmy na Isla María Madre, na pasie startowym z ubitej ziemi. Pamiętam, jak Elżbieta z Tonym fotografowali olbrzymiego węża napotkanego gdzieś po drodze.

Prezydent za każdym razem kontaktował się z polską dziennikarką przez swojego rzecznika i proponował różne wyjazdy. Podróżowali autokarami, Elżbieta Dzikowska – z dziennikarzami meksykańskimi, Tony Halik – z zagranicznymi. W autokarach w pojemnikach z lodem zawsze była coca-cola. Elżbieta Dzikowska, spragniona kapitalizmu, piła



dziesięć butelek dziennie. Echeverría nie mógł się nadziwić, że codziennie chodzi w tych samych pantoflach z przewiewnego materiału. Przysłał jej sandały: trzy pary jednego fasonu w różnych rozmiarach, bo nie znał jej numeru stopy.

W grudniu 1974 roku Elżbieta Dzikowska towarzyszyła Halikowi w podróży na Jamajkę i Haiti. Była jego dźwiękowcem. Halik wyprowadził się z domu przy Calzada Desierto de Los Leones (jego żona Pierrette została w nim z 16-letnim synem Ozaną). Z Elżbietą zamieszkali w apartamencie hotelu Mi Casa przy ulicy Generała Prima 106, tuż przy skrzyżowaniu dwóch najdłuższych arterii miasta Meksyk: Avenida de los Insurgentes i Paseo de la Reforma, w pobliżu pomnika indiańskiego wodza Cuauhtémoca.

Hotel zbudowano pięć lat wcześniej, w 1970 roku. Kiedy odwiedzam go w 2016 roku, dowiaduję się, że od otwarcia nie zmieniono tu umeblowania. Niegdyś ekskluzywne miejsce znacznie obniżyło standard. Dziś noc w takim apartamencie kosztuje 560 pesos, niewiele ponad sto złotych. Na drugie piętro prowadzi mnie Victor Rodriguez. Otwiera: dwa pokoje, aneks kuchenny, duże łóżko małżeńskie, stoliki i fotele z jasnego drewna, szafki z ciemniejszego, czerwony dywan, białe ściany. Tylko telewizor i telefon nowsze niż wtedy – na oko z lat dziewięćdziesiątych.

Po roku spędzonym w Meksyku Echeverría zaproponował Elżbiecie Dzikowskiej meksykańskie obywatelstwo i stałe zajęcie. Zdziwił się, że odmówiła i zdecydowała się na powrót do PRL-u. Wybrała pracę w „Kontynentach”. Poza tym nie chciała się rozstawać ze swoim mężem korespondencyjnie. Halik towarzyszył jej w samolocie do Panamy, skąd przez Peru miała wracać do Polski. Na pożegnanie zagrali w kasynie hotelu Continental.

Tony do Limy zadzwonił już pierwszej nocy, nie wiadomo, skąd miał numer telefonu przyjaciół Elżbiety Dzikowskiej, u których się zatrzymała. Powiedział, że zaraz do niej przylatuje. Wynajęli na tydzień samochód, wyruszyli w podróż po Peru.

– Był szalony – opowiada Elżbieta Dzikowska – jak miałam się nie zakochać w takim wariacie?! Kiedy się żegnaliśmy, powiedziałam mu, że jeżeli będzie chciał ze mną być, to tylko w Polsce. I już przeczuwałam,



Tony Halik udzielił w Meksyku wywiadu Elżbiecie Dzikowskiej, wywołał go i pocztą dyplomatyczną wysłał Ryszardowi Badowskiemu.



że przyjedzie. Tym bardziej że za Polską tęsknił. To jeszcze jeden impuls, który pomógł mu podjąć decyzję.

Po powrocie Elżbieta Dzikowska opowiedziała o Haliku swojemu mężowi Andrzejowi Dzikowskiemu. Potem napisała list do Tony'ego: może przyjechać do Warszawy.

W liście z 23 sierpnia 1974 roku, który Elżbieta Dzikowska przywiozła od Badowskiego wraz z kamerą Bolex Reflex, Halik przeczytał:

„Ela Dzikowska nie może kręcić tematów synchronicznych dźwiękowych, a więc gdybyś Ty nie mógł pożyczyć synchronicznej kamery i udzielić jej wywiadu dla »Klubu sześciu kontynentów« przed kamerą, zapisz tylko swój głos na taśmie magnetycznej, puścimy go »zza kadru« – a Ela pokaże Ciebie, jak przeglądasz listy...”

Po pół roku, 6 stycznia 1974, Halik odpisał:

„Drogi Ryszardzie.

Bardzo Ci dziękuję, że mi za złe mego milczenia nie bierzesz. Zawsze jestem Twoim serdecznym przyjacielem, ale niestety listy do Ciebie muszę pisać osobiście na maszynie, bo moja sekretarka nie zna polskiego [...]. Zrobiłem Ci o naszym domu cały wywiad w kolorze z Panią Dzikowską. Nawet go wywołałem”.

I trzy tygodnie później:

„Jak nie pisałem, to nie pisałem, a teraz piszę do Ciebie co parę dni. Myślę, żeś już otrzymał taśmy i film z WYWIADU PANI DZIKOWSKIEJ w moim domu. Kurierzy z MSZ je zabrali i mają Ci je doręczyć czy też zadzwonią, żebyś po nie przyszedł do ministerstwa. Filmy są wywołane. Na taśmie dźwiękowej masz nagraną relację moją i pytania Dzikowskiej. Możesz je ciąć, jak chcesz [...]. Jeżeli mi możesz powiedzieć, to bym chciał wiedzieć, kiedy to pójdzie w powietrze, żeby zawiadomić rodzinę i znajomych. Co Ci przywieźć z Meksyku? Pozdrów wszystkich znajomych. Do szybkiego zobaczenia.

Twój przyjaciel”.

– Dostałem paczkę z Meksyku pocztą dyplomatyczną przez MSZ – opowiada po latach Ryszard Badowski. – Wyjąłem film. W domu go przejrzeć nie mogłem, bo nie miałem na czym. Ale dźwięk mogłem przesłuchać. Przesłuchuję i myślę: „Coś się dzieje”. Bo Halik we wszystkich

programach adorował swoją żonę Pierrette, wciąż o niej mówił. A tu ani słowa o Pierrette nie było! Pomyślałem: „Oj, coś, kurczę, pęknie w tym małżeństwie”. I po jakimś czasie rzeczywiście. Nagle dowiedziałem się, że Halik mieszka w Warszawie. Zaprosił mnie na Inflancką, a tam spotkałem Elżbietę Dzikowską.

– No cóż, Badowski nas jakby zeswatał – przyznaje Elżbieta Dzikowska.



Przeprowadzka

List napisany jest na maszynie na papierze firmowym NBC. Czerwonym atramentem. Halik wybrał go specjalnie, dla żartu, wcześniej takim samym pisał do niego Ryszard Badowski z Moskwy. Relacjonował stamtąd rosyjsko-amerykański lot Sojuz-Apollo.

4 września 1975 roku, Halik do Badowskiego z Meksyku:

„Ja jak zawsze zawałony pracą. Byłem ostatnio na miesiąc na Kubie i miałem bardzo specjalny wywiad z Castro. Potem w Panamie z Torrijosem, w Kolumbii na zjeździe czarowników i szybko musiałem lecieć do Peru w związku ze zmianami w rządzie, no i Ekwador też mi się zaczyna burzyć. W Argentynie moc zmian i prawdopodobnie rządy Pani Peronowej już niedługo się skończą”.

Halik dziękował Badowskiemu za „czerwony list” z Moskwy, pogratulował Medalu Towarzystwa „Polonia” i Złotego Krzyża Zasługi („W naszym kapitalistycznym świecie o takich rzeczach się nie mówi”). Zaprosił go też do swojego domu w Meksyku („lodówka zawsze jest mniej więcej pełna, więc z głodu nie umrzesz”) i obiecał, że może nawet znaleźć czas, by razem wyrwać się „na jakąś mniejszą awanturę”.

Snuł plany: do Polski przyjedzie w październiku. Zostanie na dwa, trzy tygodnie. Na dłuższy urlop nie ma szans. Przywiezie trochę filmów, które będzie musiał zabrać z powrotem. Na przykład o przygodach z Indianami. Niestety, część materiału jest czarno-biała, za to bardzo interesująca: obrzędy plemienia Karajá, życie Halika w ich wiosce, opowieść o Jívara, zmniejszających ludzkich głów.

„Wszystko to masz opisane w książce – pisał Halik do Badowskiego – więc nie potrzebujesz szczegółów”.

Dwie książki Halika w 1975 roku wydało w jednym tomie wydawnictwo Iskry. Część pierwsza: „Z kamerą i strzelbą przez Mato Grosso”, część druga: „180.000 kilometrów przygody”. Z hiszpańskiego przetłumaczyła Zofia Wasitowa. Nakład 40 tysięcy egzemplarzy rozszedł się natychmiast. Nawet Ryszard Badowski miał problem ze zdobyciem książki Halika. Jedną udało mu się wyrwać spod lady. Wysłał ją autorowi.

W dalszej części listu Halik zaproponował kilka tytułów do nowego cyklu jego półgodzinnych filmów: „Tam, gdzie się kończy cywilizacja”, „Biały Indianin” albo „Między szczepami wolnych Indian”. Obiecał przywieźć też inne filmy o bezkrwawych walkach z bykami, o Haiti, o Indianach Tarahumaras.

Pod koniec listu dawał instrukcje: „Jeżeli przypadkowo wyjedziesz, zostaw wszystkie dane, jak postępować, u Pani Elżbiety Dzikowskiej z Kontynentów, tel. redakcji 27-71-71, dom 32-65-64. Pieniądze możesz też u niej zdeponować z całym spokojem. Będę z nią w kontakcie i czasami dzwonię do niej [...]. Elżbieta Dzikowska to wspaniała kobieta i niezmordowany reporter. Kręci kupę filmów w Meksyku i w paru podróżach, które odbyliśmy razem – to hity. Na pewno Ci opowie ze szczegółami o Meksyku, który zna doskonale. Nawet napisała książkę o Meksyku, która ukaże się w Polsce”.

Wiosną 1976 roku Robotnicza Spółdzielnia Wydawnicza „Prasa-Książka-Ruch” wydała książkę Elżbiety Dzikowskiej pod tytułem „Niełatwo być Indianinem”.

Badowski pokazał w telewizji pięcioodcinkowy cykl Halika. W końcu wybrał tytuł: „Ostatni wolni Indianie”. Z opisu filmów w archiwum Telewizji Polskiej: Manaus, osady poszukiwaczy diamentów w górnym dorzeczu Amazonki, wioska Indian ze szczepu Bororos, łodzie na Amazonce, ptaki i zwierzęta w dżungli Mato Grosso, kąpiący się Indianie, plemiona mieszkające w głębi dżungli, tańce rytualne, uroczystości i obrzędy związane z zaręczynami: taniec zaręczynowy, walki konkurentów, zabawa, skoki przez ogień; rzeka Araguaia, żółwie, ptaki, ryby, wąż dusiciel, wioska plemienia Karajá – miejscowe wyroby: broń, maty, strzały; zajęcia gospodarskie mieszkańców, spreparowane głowy ludzkie, wulkan Sangay, północna Kolumbia – plemię Sinu, młode małżeństwo buduje chatę na palach, wyprawa poszukująca szczepu Szawantów – spotkanie w dżungli, wioska Szawantów – budowanie szałasów przez pierwszą żonę wodza, obrzędy miłosne Indian z Meksyku...

TU BYŁEM. TONY HALIK



Tony Halik wyrusza w kolejną podróż.

– Pierwszy odcinek otrzymał nazwę „Byli władcami kontynentu” – opowiada Ryszard Badowski. – Na antenę trafił 1 kwietnia 1976 roku. Ja w tym czasie zdążyłem wziąć udział w I Polskiej Morskiej Wyprawie do Antarktyki, która trwała kilka miesięcy. Dopiero po powrocie do kraju, nic nie wiedząc o dalszych planach Halika, z gazet dowiedziałem się, że w sierpniu 1976 roku brał udział wraz z Dzikowską w polsko-peruwiańskiej ekspedycji w poszukiwaniu inkaskiej stolicy. Była to ich pierwsza ujawniona publicznie wspólna podróż. Nie miałem wątpliwości, że przyniosą z niej pierwszy razem zrealizowany film Tony. Nie wspomniał mi ani słowa, że zamierza wrócić dla niej do Polski i razem z nią zamieszkać w Warszawie.

Andrzej Dzikowski, mąż Elżbiety, koniecznie chciał poznać swojego następcę. Urządził kolację. Był dobrym kucharzem, a tamtego dnia, jak zapamiętała Elżbieta Dzikowska, starał się szczególnie. Były polskie dania: czerwony barszcz, który Tony bardzo lubił, pierogi z mięsem, kapustą i grzybami, sernik, wino. Panowie byli spięci, ale zachowywali się wobec siebie elegancko.

– Tony za pośrednictwem Spółdzielni Mieszkaniowej „Locum” kupił za dolary niewielkie mieszkanie przy ulicy Inflanckiej. Ja swoje mieszkanie zostawiłam byłemu mężowi – wspomina Elżbieta Dzikowska.

Wkrótce Andrzej Dzikowski ożenił się z inną kobietą.

Pierrette, żona Tony’ego Halika, została w Meksyku.



Odkrycie

Z polsko-peruwiańską ekspedycją w poszukiwaniu inkaskiej stolicy było tak:

– Caramba! – kłął po hiszpańsku Halik, bo gdy zaczął filmować wielkie wydarzenie, akurat zaszło słońce.

W lipcu 1976 roku w butach amerykańskich marines przedzierał się przez tropikalny las w Peru. Cały dzień kamerę nieśli mu tragarze. Ręka musiała być wypoczęta, nie mogła zadrzeć przy filmowaniu odkrycia. Edmunda Guilléna Guilléna, peruwiańskiego naukowca, specjalnie ubrał w czerwoną koszulę, by efektownie wyglądał na tle zielonego gąszczu. Do kamery włożył taśmę Fuji o czułości czterysta asa. Wyciągnął światłomierz...

– Światło! – krzyczał, a członkowie eskapady natychmiast karczowali kilka cedrów. Drzewa padały, odsłaniały pochmurne niebo, światła wciąż brakowało.

Odkrycie trzeba było przełożyć na następny dzień.

Wyprawa zaczęła się niedługo po tym, jak w czerwcu 1976 roku Elżbieta i Tony zamieszkali w bloku przy ulicy Inflanckiej w Warszawie. Ale do Peru wyruszyli oddzielnie: Elżbieta z Warszawy, Tony z Nowego Jorku. Wspólny był za to cel: Vilcabamba.

Podczas poprzedniego pobytu w Limie Elżbieta Dzikowska poznała profesora Edmundo Guilléna Guilléna. Był rówieśnikiem Halika (1921) i rektorem prywatnego uniwersytetu imienia Ricardo Palmy. Pierwsze nazwisko miał po matce, drugie po ojcu. Choć nie byli spokrewnieni, nazywali się tak samo. Niewysoki, krępy, dobrze zbudowany, cerę miał smagłą, włosy gęste i czarne.

Był piewą istnienia historii równoległej do tej napisanej przez Hiszpanów. Historii z punktu widzenia Inków. W Sewilli przez rok przeglądał i kopiował archiwa z Nowego Świata. Marzył, by doprowadziły go do Vilcabamby, ukrytych w gęstym lesie ruin legendarnej ostatniej stolicy Inków z lat 1536-1572. Guillén opowiedział o swoich planach Elżbiecie Dzikowskiej. Nigdy wcześniej nie słyszała o Vilcabambie. Ale chciała za wszelką cenę przyłączyć się do wyprawy. Brakowało pieniędzy, więc namówiła Tony'ego, a przekonał swoich amerykańskich pracodawców. I pieniądze się znalazły.

Wyprawę wsparł też Stanisław Jarząbek, który w latach 1976-1980 był polskim ambasadorem w Peru i Boliwii, a od lat sześćdziesiątych przyjaźnił się z Halikiem. Po jakimś czasie utracił jednak wiarę w szanse wyprawy. Zalatywała mu amatorszczyznę. Bo co to za ekipa badawcza, którą tworzą trzy osoby: dziennikarka z Polski, filmowiec i tylko jeden naukowiec.

Tony Halik miał zlecenie na reportaż dla NBC. Elżbieta Dzikowska z Polski przywiozła szampana sowieckiego igristoje. Stanisław Jarząbek подарował wyprawie dwa białe-czerwone proporczyki. Skromnej ekipie towarzyszył Yayo. Właśnie skończył studia i – jak się okazało – wcale nie był zainteresowany Inkami, lecz córką profesora.

Jechali pociągami, na stacjach zjadali tamales, ciasto zawinięte w kukurydziane liście, gawędzili o diecie Inków. Guillén powiedział, że smakoszem był ostatni z wielkich władców imperium – Wayna Qhapaq. Szczególnie lubił cziczę, pił ją za trzech. Czcę robi się tak: kobiety żują ziarna kukurydzy, wypływają do glinianego naczynia, ślina przyspiesza fermentację. A najlepiej robią to kobiety bezzębne, zauważył Halik. Czicza, którą one przygotowują, jest najsmaczniejsza!

– Dziś wytwarza się ją w bardziej higieniczny sposób – śmieje się 40 lat później Elżbieta Dzikowska.

Wysiedli w Chaullay, na stacji zjedli anticuchos, szaszłyki z wołowych serc. To niespokojna okolica, więc do wyprawy dołączyło dwóch policjantów: Jorge i Cipriano (choć ten ostatni wolał, by nazywać go Percy). Młodzi i bardzo do siebie podobni. Dzikowska i Halik rozróżniali ich tylko po tym, że jeden chował amunicję, a drugi nosił ją na wierzchu.

Furgonetką do Chuquilluski. Zamiast plantacji kukurydzy więcej tu pól koki. Krajobraz był tak piękny – wspominała Dzikowska – że gdyby zobaczyła go na obrazie, uznałaby za kicz.



Zerwany most, przenoszenie bagażu po prowizorycznej kładce, dalej ciężarówką. W Yupanqui przesiedli się na muły.

W Puquirze do ekspedycji dołączył gubernator regionu don Juan Cobos. Chciał przy okazji odwiedzić syna, który mieszkał w pobliżu miejsca, gdzie spodziewali się znaleźć ruiny. Częstował przybyszów aguardiente z trzciny cukrowej. Polacy rewanżowali się żytnią. Razem dotarli do Vitcos. To tu w 1545 roku Hiszpanie zamordowali inkaskiego władcę Manco Inkę Yupenqui.

W ruinach inkaskiego pałacu Halik czał się z kamerą.

„Uwaga! – woła. – Pierwszy wchodzi przewodnik. Filmujemy przybycie ekspedycji do Vitcos.

Juan Cancio, Edmundo, ja, policjanci... Stok jest łagodny. Droga niby niedaleka – przyjemnie jednak pomyśleć, choć nikt się do zmęczenia nie przyznaje, że za chwilę odpoczniemy...

– Stop! – woła Halik. – Słońce się schowało. Zawróćcie i wejdźcie jeszcze raz, kiedy przejdzie chmura...”⁷ – tak opisała to Elżbieta Dzikowska. Przy okazji kręciła film dla polskiej telewizji. Wciąż musiała uważać, aby terkotanie starego bolexa nie przeszkadzało amerykańskiej kamerze Halika.

Wyprawa – z poganiaczami mułów i tragarzami – liczyła już dwanaście osób. Minęli Vilcamambę. Nie tę, której szukali. Ale San Francisco de la Victoria de Vilcabamba. Założyli ją Hiszpanie, gdy 24 czerwca 1572 roku zburzyli Vilcabambę inkaską. Dawną stolicę zarósł tropikalny las. A potem zaczęto powątpiewać, czy w ogóle istniała.

– To w tej drugiej, hiszpańskiej Vilcabambie – mówi Elżbieta Dzikowska – zrobiłam zdjęcie inkaskiego słońca z *papier-mâché* na ołtarzu katolickiego kościoła. Indianie ciągle oddawali mu cześć.

Członkowie ekspedycji jechali na mułach. Najdłużej: 11 godzin w ciągu dnia. Coraz gęstsza roślinność, co chwilę musieli schylać głowy.

W Espiritu Pampa dołączył Flavio, syn gubernatora. Niewysoki, szczupły, zwinny. Szedł potem na czele, wycinał maczetą wąską ścieżkę.

Na kolację: rosół ze świnki morskiej. Kiedy wszyscy spali, profesor Guillén siedział długo w noc, robił notatki, przeglądał dokumenty, zbierał informacje, przygotowywał trasę na następny dzień.

Nazajutrz brnęli w błocie. Elżbiecie Dzikowskiej chciało się pić.

„– Tony! – wołam. Ale Halik mnie nie słyszy. Nie słyszy nikogo. On też jest skupiony, chociaż w inny sposób. Musi zrobić film o odkryciu Vilcabamby [...]. Potrzebne mu jest »mięso«: obraz. Obraz Vilcabamby. Czy ją odnajdziemy? – to dla Guilléna podstawowe pytanie. Dla Halika równie ważne jest, czy – jeżeli okaże się za chwilę, że jesteśmy w ostatniej stolicy Inków – można będzie ją sfilmować?”⁸.

Halik, jak chciał mieć efektowne ujęcie, wszystko temu podporządkowywał. Gdy stał za kamerą, zapominał o otoczeniu, żył wyłącznie dla filmu. W drodze do Vilcabamby Elżbietę Dzikowską koń zrzucił z grzbietu. Ciągnął w strzemionach kilkadziesiąt metrów. Halik miał jedno zmartwienie: że tego nie sfilmował.

W peruwiańskiej selwie narzekał, bo choć ekspedycja odnalazła inkaskie wodociągi, to nie płynęła nimi woda. Czekał z filmowaniem, aż przepchają je kijami i spadnie deszcz.

Spodobało mu się, kiedy jeden z członków ekipy wspinał się po cedrze.

– Zawróć! Jeszcze raz! Musimy to sfilmować – wołał.

Wciąż był niezadowolony. Powtarzał ujęcia. I nawet przyznał, że nikt mu jak dotąd nie pozował tak opornie jak Vilcabamba.

– Jeszcze nie mamy pewności, czy to Vilcabamba – zaznaczał któryś z członków wyprawy.

– Vilcabamba! – denerwował się Halik. – Inaczej nie ma filmu.

Wreszcie! Omszały mur, brama, kamienny most, wodociąg, dachówki, którymi pokryto pałac Inki...

Kiedyś miała kilkanaście tysięcy mieszkańców. Rezydencje, kilka świątyń, pałac władcy. Z tak dużym dziedzicem, że można by tu urządzić wysługi konne. Wokół miasta: pola kukurydzy, które potem porósł gęsty las.

Tony kazał przyprowadzić muły. Chciał sfilmować wkroczenie ekspedycji do Vilcabamby i zakładanie obozowiska. Elżbieta Dzikowska przypomniała mu, że muły i nocleg mają u syna gubernatora, godzinę drogi stąd.

„– Nie szkodzi. Nie zmieni to żadnych zasadniczych dla odkrycia faktów, a będzie wyglądać bardziej malowniczo. Telewizowie to lubią”⁹.

Jednej z ruin, domniemanemu Pałacowi Dziewic, nadali nazwę „Polonia”. Guillén śpiewał z Elżbietą Dzikowską polski hymn (a jednej z rzeczek nadał nazwę „Joasia”). Stop! Jeszcze raz! Halik musiał powtórzyć ujęcie...



Elżbieta Dzikowska i Tony Halik w czasie wyprawy do Vilcabamby,
ostatniej stolicy Inków.

– A może siedzimy w miejscu, w którym znalazł się przed dziesięciu laty Gene Savoy? Nie myślicie, że to ślady jego bytności? – zastanawiał się profesor. No właśnie.

W sobotę 7 sierpnia 1976 roku na pierwszej stronie peruwiańskiego pisma „El Comercio” ukazało się zdjęcie z wyprawy. W środku: „Po 404 latach zapomnienia miasto Vilcabamba – ostatnie miejsce oporu Inków wobec hiszpańskiej inwazji – zostaje odkryta przez ekspedycję prowadzoną przez profesora Edmundo Guilléna Guilléna. Biorą w niej też udział: Elżbieta Dzikowska, dziennikarka z Polski, i Tony Halik, kamerzysta amerykańskiej telewizji”¹⁰.

– Urządziłem konferencję prasową w polskiej ambasadzie w Limie – opowiada mi Stanisław Jarząbek. – Zaprosiłem wszystkich korespondentów zagranicznych. Niektórzy z nich dopytywali, czy to rzeczywiście jest odkrycie. Zresztą Elżbieta, Tony i Guillén niczego nie ukrywali, mówili o ludziach, którzy byli wcześniej w Vilcabambie. W gruncie rzeczy było to ogłoszenie

ponownego odkrycia Vilcabamby przez Halika i Elżbietę Dzikowską. Więc z naukowego punktu widzenia ta wyprawa nie miała większego znaczenia. Jednak peruwiańscy naukowcy niczego nie dementowali. Byli zadowoleni, że mówi się i pisze o ich kraju.

W rzeczywistości już w 1910 roku do Vilcabamby dotarł Hiram Bingham, amerykański naukowiec, odkrywca i polityk. Jednak uznał, że ruiny wyglądają zbyt skromnie, więc nie mogą być Vilcabambą. Vilcabambą nazwał odkryte przez siebie Machu Picchu.

W 1964 roku do dawnej stolicy Inków przedarł się inny amerykański odkrywca Gene Savoy. W 2003 roku zapytany o swoją najważniejszą ekspedycję powiedział w wywiadzie dla polskiej gazety:

„Niewątpliwie wyprawa na północny zachód od Cuzco, którą prowadziłem w latach 1964-1965. W jej rezultacie doszło do odkrycia Vilcabamby – ostatniej stolicy Inków, w której zamieszkiwał Inka Manco II”¹¹.

Elżbieta Dzikowska o Savoyu kilkakrotnie wspomina w swojej książce z 1979 roku. Nie przeczy, że dotarł do ruin wcześniej. Ale pisze, że „nie potrafił przedstawić dostatecznych dowodów na poparcie swojej atrakcyjnej tezy: uczeni pozostali nieprzekonani i sprawa lokalizacji Vilcabamby wciąż była otwarta”¹².

Dziś, jeśli mówi się o wyprawie Guilléna, to że spopularyzowała Vilcabambę dzięki nakręconemu dla Amerykanów filmowi.

– Jedno jest pewne: byliśmy pierwszymi Polakami, którzy znaleźli się w ostatniej inkaskiej stolicy – twierdzi Elżbieta Dzikowska.

Przy okazji wyprawy Dzikowska i Halik spotkali Mario Vargasa Llose. Wcześniej przyszłego noblistę, autora „Rozmowy w »Katedrze«” poznał Stanisław Jarząbek. Odwiedzili go więc we troje. Pisarz nie wypytywał o Vilcabambę. Wolał rozmawiać z Elżbietą Dzikowską o swoich książkach. Z kolei Tony Halik nie był zbytnio zainteresowany literackimi opowieściami.

Po wyprawie powstały dwie książki (Dzikowskiej i Guilléna) oraz dwa filmy (Dzikowskiej dla TVP i Halika dla NBC). Wszystkie pod tym samym tytułem: „Vilcabamba – ostatnia stolica Inków”.

Rok po wyprawie Elżbiety Dzikowskiej i Tony’ego Halika media na całym świecie podały, że Vilcabambę odkryli... Japończycy.

Ekspedycję firmował profesor Edmundo Guillén Guillén.



Obywatel

– To trwało chyba ze dwa lata – Józef Klasa poprawia się w fotelu. Mamy widok na zieloną dolinę między Krakowem a Zakopanem. Odwiedzam go 40 lat po tym, jak poznał w Meksyku Tony'ego Halika.

Odkąd jest na emeryturze, większość czasu spędza na wsi. Były I sekretarz KW PZPR w Krakowie, potem ambasador w Meksyku (1975-1980) i od tamtego czasu przyjaciel Halika.

Opowiada mi, w jaki sposób Halikowi udało się wrócić na stałe do Polski.

– Pewnego dnia, to było na początku mojej pracy w Meksyku, Halik zadzwonił do mnie i spytał, czy może mi złożyć wizytę w ambasadzie. Wtedy się poznaliśmy. Piliśmy żubrówkę. On opowiadał, jak się znalazł poza Polską, bardzo lubił o tym opowiadać. Poza tym deklarował, i to żywiołowo, swoje przywiązanie do ojczyzny. Przyjechał eleganckim pinto. Tak mi się ten samochód spodobał, że kupiliśmy potem identyczny dla ambasady. Na dachu miał kajak: może skądś wracał, a może woził go dla szpanu. A ja się bałem, czy on po tej żubrówce da radę wrócić do domu. Wsiadł, ruszył, dojechał na miejsce i od razu do mnie zadzwonił: „Panie ambasadorze, pan się niepotrzebnie bał. Nawet lepiej mi się prowadziło po polskiej żubrówce”. Dopóki człowiek człowieka nie pozna, musi być ostrożny. Nie opowiadałem mu rzeczy, których nie powinienem. Raczej słuchałem. Zawsze tak było. Ile razy się spotykaliśmy, to ja jego słuchałem, a nie on mnie.

Przypadli sobie do gustu. Od tamtego pierwszego spotkania zawiązała się między nimi przyjaźń.

– Oczywiście była to przyjaźń potrzebna; myślę, że dla obu stron. Dla ambasadora taki kontakt jak Halik, który wszystkich zna, to wielka

sprawa. Powiedział mi na przykład: „Jutro mogę pana umówić z prezydentem Echeverrią”.

Halik też chciał coś sobie załatwić: powrót do Polski. Ale to nie było proste.

– Wyjechał jako młody chłopak, nie zostawił w Polsce przyjaciół, nie utrzymywał też – miałem takie wrażenie – zbyt bliskich stosunków rodzinnych – wspomina Józef Klasa. – Jednak coś w nim polskiego siedziało. Niby obywatel świata, ale wciąż gadał o Polsce. Wściekał się, kiedy ktoś źle o niej mówił. Pamiętam spotkanie na bifteku u Halika, na którym było chyba trzech rosyjskich dziennikarzy. Z Polski też ktoś był. Jeden z Rosjan żartował sobie, że niby kurica nie ptica, Polska nie zagranica. Że niby Polska to dla Rosji wciąż tylko Prywislanski Kraj. Strasznie się Halik zezłościł. Podnosił głos, coś tym korespondentom nagadał. Tak mocno, aż nam było głupio.

Ale z powrotem Halika do Polski był kłopot. Miał dwa obywatelstwa: od urodzenia polskie, a jeszcze w latach pięćdziesiątych przyjął argentyńskie. Tymczasem według ówczesnego polskiego prawa można było mieć tylko jedno. Jeśli więc chciał wracać do Polski, musiał wybierać: albo jedno, albo drugie. Ale to nie wszystko. On chciał wracać i nadal pracować dla amerykańskiej telewizji, swobodnie podróżując po świecie. A przecież gdyby miał tylko polski paszport, koniec z wyjazdami. O NBC też mógłby zapomnieć. Jedyna rada: zrzec się obywatelstwa polskiego. Mógłby wtedy mieszkać w Polsce jako cudzoziemiec.

Klasa: – Przeżywał to bardzo, ale zdecydował się na ten krok. Tylko jak to załatwić? Nawet mój konsul w Meksyku był zszokowany: „Co ty wyprawiasz?! Popierasz prośbę, żeby Halik zrezygnował z polskiego obywatelstwa, bo chce wrócić do Polski? Przecież cię wyśmieją”. No więc mieliśmy problem. Wiele osób zaangażowało się w tę sprawę, ale na mnie jako na ambasadora spadła największa odpowiedzialność.

Wymyślili, że Halik napisze podanie do Rady Państwa, bo tylko ona mogła zwolnić go z polskiego obywatelstwa. Jednocześnie miała być w piśmie zawarta prośba o zgodę na osiedlenie się w Polsce. A także uzasadnienie: Halik pracuje jako korespondent NBC i dlatego niezbędny jest mu paszport umożliwiający podróże po świecie.

– Ja się wcale nie dziwię, że Ministerstwo Spraw Wewnętrznych kazało mi się wtedy z tego tłumaczyć – opowiada Józef Klasa. – Halik nawet nie

TU BYŁEM. TONY HALIK



Aby zamieszkać znów w Polsce, a jednocześnie kontynuować karierę filmowca i amerykańskiego korespondenta, Halik musiał zrezygnować z polskiego obywatelstwa.

wiedział, ile miałem problemów. Bo podejrzenie padło natychmiast: co to za człowiek, który chce mieszkać w Polsce jako obcy obywatel?

Dostali odmowę. Ale Halik nie dawał Klasie spokoju – przychodził do ambasady wieczorami, pili razem po kilka kieliszków żubrówki i namawiał go, żeby ambasador sam napisał do Henryka Jabłońskiego, przewodniczącego Rady Państwa, którego dobrze znał.

Tym razem się udało.